

Paula

– dramat w kilku życiorysach.

Podobieństwo do zapomnianych mieszkańców Katowic jest nieprzypadkowe i nieuniknione

Moim Pradziadkom, Dziadkom i Rodzicom – w dowód spóźnionej miłości, Wujkowi Herbertowi i Cioci Toni za wskazywanie drogi.

Jest początek listopada 1975. Za kilka dni reprezentacja Polski gra rewanż z Holendrami. Nie wysiądę w Łabędach. Wskoczę w biegu. Pociąg zwolni przed semaforem przed wiaduktem. Mam tylko chlebak. W nim notatki z ćwiczeń i wykładów, skarpetki i spodenki na zmianę. W kieszeni małą, cynkową figurkę jej opiekuna. Wreszcie ją znalazłem za książkami pradziadka. Na półce nad Sinclairem, Wallecem, pod książkami Mary Kahn leżał sobie święty zawinięty w pergamin. Sam będąc zgubą, jak mógł wysłuchać modlitw kierowanych do niego.

W dali wyłoniło się kilka wież kościelnych – Klein Berlin. Dziewiętnastoletni Heinrich Krakowsky minął krzyż pokutny rycerza Hansa Reiswitza. Żwawym krokiem Heinrich doszedł do rynku. Piękny ratusz przyciągał jego wzrok, a napis na kolumnie maryjnej znał na pamięć: Maryjo, Matko łaski, Matko miłosierdzia. Broń nas od wroga i przyjmij w godzinę śmierci. Na rogu święty Nepomuczek przypominał o tajemnicy spowiedzi, dalej barokowy dom goszczący Sebestę, kiedy ten na zaproszenie proboszcza Borka swymi malowidłami upiększał kościoły i zamek. W kościele zmówił modlitwę za spokój duszy ojca. To jedyne, co mógł dla niego zrobić. Nie znał go. Wstąpił do knajpki Zum Schwarzen Bären. Wypił piwo, zjadł precla i odpoczął.


Wchodząc w Schloßstraße minął u jej wlotu po prawej lokal, którego unikał, a który go, nie wiedzieć dlaczego, drażnił i pociągał, Oberglogauer Honigkuchen. To wyzwanie dla takiego bękarta, jak ja – myślał o tym od lat. Zbudować podobne imperium. Do tego potrzeba silnej woli. Mam jej aż za dużo. Nigdy się nie poddam. Trochę pieniędzy na początek, dobre małżeństwo i silna żona. Mój zakład nie będzie piekłem wyłącznie pierników – to będzie coś nowego. Chleb, dużo chleba dla dużego miasta, najlepiej dla jakiegoś młodego miasta, pełnego murarzy, wypalaczy cegieł, pracowników tartaków, górników, hutników. Ciastka dla ich dzieci i żon. Słodczyce dla żon bankierów, urzędników i przedsiębiorców. Własne sklepy i transport. Bezpośrednie zaopatrzenie od najlepszych dostawców. Centrum miasta. W pobliżu piwiarnia do rozmów o interesach. Szkoły dla dzieci. Szkoły.

Stał przed oknem wystawowym i gapił się w milczeniu, jak sprzedawała chleb, bułki, pierniki... Ta by się nadała. Stał i milczał. Patrzyła na jego lśniące buty. Jak on to robił, przecież przychodził jesienią z Possnitz? Kawał drogi, a buty czyste. To chyba porządny chłopak. Odprasowane spodnie, surduty, kamizelka, biała koszula, zegarek na łańcuszku, melonik. Wąsik podkręcony do góry, zacięte usta i czarne brwi. Stał, wpatrywał się i odchodził. Znowu przychodził. wiedziała, że to zdolny i pracowity czeladnik. Nieśmiały, bo biedny? Marszczy brwi i zaciska usta, bo sam się z sobą nie zgadza. Co go dręczy? Wreszcie się odważył i pomachał jej nieznacznie. Trwało to tak jakiś czas. Wiedział, że osiągnął cel. Czekala na niego. Świadomie pozostawiał cień za oknem, albo na szybie jak w kinematografie Anschütza. Żył na niej wspomnieniem i sobą całym, jakby przepowiednią, jakby przekleństwem. Nabierał kształtu i pewności. Ruszał się i mówił do Pauli przez cały czas. Czula go. W piekarni było ciepło i pachniało. Jej było gorąco i wilgotnie. Odurzał nieznanymi zapachami.

Miasteczko zaczęło mówić. A on nic, przychodził, stawał, patrzył, machał na pożegnanie i zapalał cygaro, odwracał się, idąc w kierunku parku, puszczał kółka – jedno, drugie i trzecie. Malutkie trzecie przechodziło przez dwa pierwsze. Wtedy zniknął w bramie miejskiej i tyle go

widzieli. Idąc przez park nadkładał drogi. Dęby, buki i lipy dawały mu spokój, a daglezie, platany, cyprysy i kanadyjskie modrzewie pociągały innością. Mijał staw z dwiema wysepkami. Zanim zdecydowanym krokiem skręcił w prawo na Głubczyce, wszedł do kościoła św. Ducha. Zimą pobiegła za nim. Modlił się za chorych i zmarłych. Była młodzieńca, ale wiedziała, jak to zrobić, żeby chłopiec uwierzył w siebie. Złapała za rękę i poprowadziła do domu. Wciągnęła do sklepu i wessała się w usta gorzkie od tytoniu. Zapach cygar skręcanych na spoconych udach zmieszał się z jej zapachem: cynamonu, korzeni i amoniaku. Nie pozbyła się go już nigdy. Szorowała, płukała, perfumowała. Nic i nigdy z niej nie zejdzie. Kiedy poczuła w sobie drganie, wiedziała, że to jej życie. Ciało pokryją sińce i zmarszczki. Będzie cierpieć i płakać. Będzie się tułać i będzie samotna. Przeżyje to życie o wiele lat.

Modlitwy do świętego Antoniego nie pomagały. Modliły się gorliwie. Tu jednak nikt nic nie zgubił. Raczej co nieco zostawił i nie chciał odebrać. Agnes przestrzegła: z małymi chłopami wielkie są tylko kłopoty. Ale i tu nie było pewności, bo Martha w kółko powtarzała, że niscy robią małe dzieci. Przed wykopkami się okaże. Na szczęście, lub na nieszczęście dla Pauli, Heinrich postanowił się z nią ożenić na dwa tygodnie przed rozwiązaniem.

Joseph Thiel nie był bogaczem. Z żoną Agnes, pięcioma córkami i trzema synami żyli dostatnio. Dobrze ubrani, bogobojni i pracowici. Dom na Schloßstraße chronił ich i łączył. Piekarnia nie tylko żywiła, ale i zaspokajała wiele zachcianek właścicieli, jak to piekarnia z tradycją i marką. Stać ich było na wyjazdy do Breslau i Berlina. Stać było na fortepian i lekcje śpiewu dla córek. Sto lat temu u u Thielów właśnie Ludwig van Beethoven kupował rano bułeczki maślane i Bienenstich. Pukał do drzwi i o ladę.  i witał piekarzy niezmiennym: So pocht das Schicksal an die Pforte. Gawędził, zjadał ciasto, pił czekającą już czekoladą i wracał do końca IV symfonii, tej wiotkiej Greczynki między germańskimi olbrzymami – symfoniami V i VI. Cyprysik między dębem i bukiem? Tak, Oberglogau, Oberschlesien dały mu siłę tworzenia. Oddychał szerzej dzięki Lichnowskiemu – uczniowi Mozarta i późniejszemu mecenasowi Chopina.

Na skraju Górnego Śląska rosło miasto dla odważnych i pracowitych. Przy ulicy nad potoczkiem, w pobliżu młyna, Marticke wybudował solidną kamienicę. A że był rozsądny, to umieścił w suterenie kilka zakładów. Mądrze to zaplanował. Powietrze pachniało świeżym chlebem. Razowym, pszennym i grahamem. Na parterze postawił dwa piece. Na pierwszym piętrze ciastownia, wyżej karmelarnia. Obok magazyn z rampą, z której ładowano kosze z rumianym pieczywem wpierv na konne wozy, a po kilku latach na samochody. Plac wyłożono bukowymi kulokami, żeby wozy wywożące wypieki nie budziły mieszkańców.

Worki z mąką zrzucano do piwnicznych szybów. Ześlizgiwały się po miedzianej blasze i lądowały na podstawionych wózkach. Windą wjeżdżały do ciastowni. Przez przesiewacze mąka trafiała do kotłów. Jeszcze tylko woda i zakwas. Wymieszać mechanicznym ramieniem i niech rośnie. Wyrośnięte ciasto rurami na stoły i formować chleb, bułki, batony, chałki. Poukładać słomionki na deski. Deski na garboki i niech rośnie chleb. Poobracać, ciepnać na szibry i do pierwszego pieca. Przepiec do drugiego. Wypiec. Wynieść na deskach do magazynu.

Na drugim piętrze mieszkanie dla majstra – żeby miał oko i blisko do pracy. Na tym samym poziomie, ale z odrębną klatką schodową, pokoje dla czeladników. Do pracy schodzili już przebrani w piekarskie łachy. Po dniówce szli do góry. Rozbierali się, brali prysznic i najczęściej mieli tylko siły, żeby dowlec się do łóżka. Praca na zmiany odbierała im siły i jakakolwiek chęć do życia. Pieniądze wysyłali do rodziny na wsi albo składali na własną piekarnię. Niektórzy wychodzili na miasto i korzystali z jego atrakcji. Piwo, karty, jakiś mecz, albo dziewczynka na Mariackiej.

Mieszkania od frontu budowane na zamówienie akcjonariuszy kamienicy – z balkonami, służbówkami, wielkimi łazienkami zajmowali lekarze, urzędnicy i katowiccy przedsiębiorcy. Polacy, Górnolązacy, Żydzi, Niemcy. Na poddaszu mieszkała służba i hausmajster. Korytarz na poddaszu łączył klatki schodowe numerów 17 i 19. Na parterze umieszczono aptekę. Na podworko prowadziła szeroka brama. Oficynę i front połączono prostopadle dwoma budynkami. Jeden wznosił się nad magazynem, a w drugim na parterze i piętrze pracowała fabryczka środków opatrunkowych, bo świat uporządkowany przez Żelaznego Kanclerza chylił się ku upadkowi.

Adelheid urodziła się im Hinterhaus na Mühlstraße 17/18 jeszcze przed wojną. Edith w 1916. Dwóch chłopców i dwie dziewczynki – majstersztyk. Wystarczy. Nie była to jednak sprawa wyboru. Z wojny muszkietier Krakowsky wrócił bez nogi. Ktoś wrzucił granat do bunkra, w którym opatrywał rannego Francuza. Nigdy się nie dowiedział, czy rzucił go Francuz, chcący zabić Prusaka, czy Prusak, chcący zabić Francuza, a może po prostu ktoś tak sobie... Może sam wyrwał zawleczkę, kiedy pochylał się nad tym chłopakiem. Albo chłopak, kiedy go zobaczył nad sobą. Nigdy się nie dowiedział. Niczego też nie pamiętał.

Obudził się, poczuł amoniak. Czyżby to już listopad? Zawsze robił ciasto piernikowe, dojrzewające tygodniami w woni amoniaku i korzeni. Tu śmierdziało gnijącym mięsem, padliną, gangrena, mocz, krew, gówno. Kanonenfutter. O kurwa, jak boli. Nie ma niemieckiego słowa oddającego ten ból. Oh, kurwa, wo ist mein Bein? O kurwa, gdzie jest moja noga? Chciał jej dotknąć – ręka w opatunku na to nie pozwoliła. Czuł, że jej nie stracił. Bolała bardziej niż noga amputowana nad kolanem. Nie mam lewej nogi. Mam lewą rękę. Prawą chyba też. Poruszył palcami prawej stopy. Są. Oczy zaszły łzami. Żyje.

Koniec popisów z wrzucaniem worka mąki jedną ręką na plecy, koniec wskakiwania do fusgruby. Koniec tańców. Koniec tupania dla zamknięcia dyskusji. Miał zwyczaj klasnąć w ręce i tupnąć, żeby powiedzieć: to koniec, albo moje na wierzchu albo nie ma o czym rozmawiać. Lubił sobie też kopnąć kamień dla kurażu. Zdarzało się, że i jakiegoś piekarczyka. Dla porządku. Zbiegał ze schodów, skacząc po kilka schodów, zwłaszcza, kiedy podejrzewał, że ktoś coś wynosi z piekarni. Najczęściej się mylił. Nadmiar czujności nie zaszkodzi – nadgorliwość jest mniejszym grzechem niż zaniedbanie.

Heinrich był kiepskim przedsiębiorcą może dlatego, że był przyzwoity i raczej niegłupi. Czytał Walleca, Sinclairea. Daheimkalender stały uporządkowane rok po roku. Dzięki Museumsgänge Hansa Löschhorna miał jakieś pojęcie o sztuce. Niestety, był także uparty. Często na przekór kupował kopie zapomnianego Kalide. Nie były tanie. Zawsze wyżej srał, niż żerdkę miał. Katharina, jego matka, nie mogła mu zastąpić ojca. Po niej odziedziczył skupienie, zamknięcie i dzikość. Przypominał dalekich przodków. Mongołowie zostawili im geny w trzynastym wieku i imię przegranego Henryka/Hreinricha/Henricusa i miłość do wiatru, do koni, psów i kobiet. Każdego potrafił okiełzać – każdego za wyjątkiem siebie samego.

Silberstmann, Kollontay, Tomalla, Przybylla, Tomanek, Malinski, Pohl, Lipp, Krakowskÿ i jeszcze kilku weteranów z Mühlstraße, w sobotę wieczorem przypinali swoje Żelazne Krzyże i używali życia, wznosząc kufle, wydmuchując dym cygarowy do zmierzchu w piwiarni, po zachodzie słońca na niekoniecznie najbliższym placu budowy lub w innych miejscach z kupą piasku, gdzie mogli ustawić świeczki i głosić kazania nad świeżo zakopanym kameradem. Na każdego przychodziła kolej. Zabierali mu wtedy legitymację inwalidy wojennego i starannie zasypywali nogi, tułów, ręce, a nad wystającą głową wykpiwali zasługi i grzeszki pochowanego. Po nabożeństwie odchodzili i zostawiali truposzczaka. Tego obawiała się Paula. Heinrich mógł się nie wygrzebać. Magnus okazał się darem opatrności i ratunkiem dla Krakowskÿch. Kilka razy znalazł swego właściciela i biegał po Paulę, żeby pomogła mężowi zmartwychwstać.

Kilka złotych wydanych na psa okazało się trafioną inwestycją. W niedzielę wracała z kościoła spokojniejsza. Magnus i Heinrich spali już każdy na swoim legowisku. Kto kogo przyprowadził, to nie najważniejsze. Pies i pan. W szufladzie nocnego stolika leżały dowód, pieniądze, order, legitymacja i świadectwo zdrowia psa. Ordnung muß sein. Skoro poukładał, to wrócił w miarę przytomny. Paula zabrała się za obiad. Dziś mu dogodzi, będzie Schlesisches Himmelreich. Wiedziała, że smakuje mu tylko trochę mniej, niż wtedy, kiedy ktoś zwracał się do niego: Herr Werkführer albo Oberbäckermeister.

Wczoraj wieczorem zamoczyła suszone bergamotki, śliwki i morele w zimnej wodzie. Teraz robi buchtę, podgotuje wieprzowinę, doda namoczone owoce razem z sokiem, w którym się moczyły i dogotowuje. Wyjmie mięso z wywaru robi sos, doda ciemną zasmażkę z tłustą śmietaną i powidła. Doprawi sos cukrem, solą, cynamonem, utartą skórką cytryny no i odrobinę czarnego pieprzu. Mięso pokroi się na duże kawałki, ułoży na talerzu z kluskami na parze, poleje sosem i ozdobi owocami. Na popielniczce w kształcie sarkofagu Napoleona położy cygaro i zapalki. Zmieli kawę. Zaparzy. Zapach go obudzi. Wtedy pójdzie na spacer na Grundmann Straße. Poogląda sobie witryny sklepowe Altmanna, Süßmanna, Dörflera. Kiedy wróciła, męża i psa nie było w domu. Tego się spodziewała. Wieczorem Agnes przywiezie dzieci od dziadków. Odпочęli. Najedli się słodczy do syta. Może byli na Bischofskoppe? Zazdrościła tylko odrobinę.

Chłopcy terminowali w piekarni u ojca. Za każdy błąd lał ich niemilosiernie - za przeważanie chleba albo za niekształtne rogaliki. Mieli nie przynosić mu wstydu. Otto poddał się tyranii ojca. Heinz nie. Zmienił zawód. Woził Martickego. Był miły, dobrze wychowany i zdecydowany. Świetnie wyglądał. Znalazł sobie mieszkanie i rodziców tylko odwiedzał. Najczęściej, kiedy ojciec był w pracy. Część pieniędzy dawał matce – na jej potrzeby. Niewiele tego było, ale zawsze. Dziewczyny w szkole dla gospodyń i za młode na narzeczeństwo. W domu się nie przelewało. Budowali dom. Dom z piekarnią. Na wsi, za kordonem. Tak, należy myśleć o przyszłości. Mimo wszystko. Otto poprowadzi interes. Z głodu nie umrą. Ludzie chleb zawsze będą jedli. Może z czasem sam osiadzie w Elgut von Gröling. Może... Paula nie potrzebowała tego domu: Haus aus Sand und hohem Getue. Kiedy tylko mogła, jeździła do swojego prawdziwego domu, wracając zaglądała do sióstr w Neustadt i Gleiwitz. Przed podróżą wydzielała Pohlowi i Lippowi po kilka marek, żeby uważali na Heinricha.

Kaleki Krakowskÿ był skazany na Katowice, bo kto w Niemczech w czasach wielkiego kryzysu zatrudni mistrza piekarskiego bez nogi. Pohl był hausmeisterem i mógł sobie sznapsować do woli, Właściciel kamienicy patrzył, czy gospodarz zamiata i myje plac, czy schody wyszorowane i okna w klatkach schodowych umyte. Nie miał czasu na wachanie oddechu swego pracownika.

Lipp z kolei wiedział, że kiepski krawiec nigdzie indziej się nie utrzyma. W Katowicach szył worki dla młyna, płachty pod bułki i chleb oraz ręczniki dla piekarni. Spotykał się z komunistami. Rozumiał ich dobrze. Silberstmann nie wyprowadził się do miasta-ogrodu – jak

większość jego krewnych. Ze swoimi ziomkami po tej stronie granicy raczej nie chciał mieć wiele wspólnego. Znał ich nie tylko z Będzina i Sosnowca, rozmawiał z nimi, kiedy kładli podwaliny pod swoje wymarzone państwo. Nie potrafił się do nich przyzwyczaić. Jednak dobry interes z drewnem i kopalniami wynagradzał wszystko.

Otto i Adelheid też nalegali na szybką przeprowadzkę, dlatego kosztem fundamentów, piwnicy i ubikacji Heinrich przyspieszył budowę domu. Stała za to mała piekarnia i lodziarnia. Takie połączenie wsi z miastem. Bo były chlewiki dla świń i kóz. 15 arów pola za domem. Jakiś byt, jakieś bezpieczeństwo w pierwszej niemieckiej republice.

W drugiej Rzeczpospolitej Heinricha i Paulę niepokoił niejaki Kocur, który zajął największe mieszkanie w kamienicy. Nikt o nim nic nie wiedział, bo z Niemcami nie rozmawiał, Górnoślązaków unikał. Żydów pod numerem 19 na Młyńskiej w Katowicach nie widział. Wiadomo było tylko tyle, że rano podjeżdżał po niego samochód i wioził do ratusza. Dziwny człowiek. Jakby innym wskazywał drogę, a własnej jeszcze szukał. Tak to bywało wśród nowych panów Katowic.

Edith wyszła za powstańca Wydrę. No cóż... To jeszcze nie koniec rozczarowań. Otto wziął sobie chłopkę, a Adelheid wyszła za o wiele starszego Antona Borowsky, z tych Borowskich spod Baraży lub z tych z narodu wybranego. Kto tam wie. Anton wiernie służył cesarzowi, potem pracował w laboratorium Hermina Hütte, mieszkał u siostry. Sporo czytał, nożykiem wycinał szachowe figurki i grał sam ze sobą, bo co ma do roboty taki stary kawaler. Adelheid była dla niego darem niebios. Nadrobił z nią stracony czas. Czwooro dzieci w sześć lat. Czwooro prawdziwie niemieckich dzieci. Kiedy Hitler stanął na czele państwa-bankruta, Krakowsky od dwóch lat był obywatelem polskim w niezależnym województwie śląskim. Wstydił się tego dekonownika i kurdupła - NSDAP była dla niego bandą nierobów, karierowiczów i beznadziejnych głupków. O obywatelstwie wiedziała jednak tylko żona. Tekst był lakoniczny:

RZECZPOSPOLITA POLSKA	Godło państwowe	Trzy znaczki opłaty stemplowej
WOJEWODZTWO ŚLĄSKIE		skasowane pieczętą:
Magistrat w Katowicach		Magistrat miasta Katowice
L. dz. XXI.A.Rej.3064/II		

Poświadczenie obywatelstwa.

pan Henryk Krakowsky, piekarz, w Katowicach
ul. Młyńska 17/19.....urodz.dnia 5 marca 1887.....r
w Possnitz.....powiatu Leobschütz
syn Katarzyny Krakowskiej
oraz jego żona Paulina zd. Thiell.....urodz. dnia 28 kwietnia 1887.....r
w Ober-Glogau ~~tudzież jego/jej/ich dzieci:~~

- 1) ----- urodz. dnia-----
w -----
- 2) ----- urodz. dnia-----
w -----
- 3) ----- urodz. dnia-----
w -----
- 4) ----- urodz. dnia-----
w -----
- 5) ----- urodz. dnia-----
w -----

Posiadają obywatelstwo Państwa Polskiego

Poświadczenie to zapisane we właściwym rejestrze pod L.b. 3064/III
~~traci ważność po upływie trzech lat od dnia wymienionego poniżej w dacie~~
Katowice, dnia 7 października 1931 r.

Pieczęć czerwona:
Herb Katowic – 1865

Napis na otoku:
Magistrat miasta Katowice
Władza polityczna I instancji

Za I. Burmistrza
STAROSTA
/-/ Jaworski

Dzieciom nie powiedzieli. Mogły w rubryce narodowość zgodnie z prawdą wpisywać: deutsche, a w rubryce obywatelstwo rodziców bezwiednie także: deutsche.

Za Heinzem w Katowicach oglądało się mnóstwo kobiet. Przystojny kierowca czołowych Niemców w Katowicach znany był z ciętego dowcipu i swojego biczyka. Woził go zawsze ze sobą i używał, kiedy jakiś pieszy zachowywał się jak cielę na ulicy, albo, kiedy jakiś młokos był niegrzeczny wobec kobiety. Mówiąc coś ważnego, mrugał okiem. W przeciwieństwie do swego brata nie mylił w pisowni r z l, a przecinki i kropki stawiał, jak wszystko, zgodnie z zasadami. Wiedział, że swymi narodowosocjalistycznymi sympatiami, sprawia ojcu ból, więc po ślubie przeniósł się z żoną do Breslau. Na Grünberger Straße 41 mieli ładne mieszkanie. Jakoś z Hildegard nie mieli dzieci. To mogła być ta jego późna świnka. We wrześniu 1939 Niemcy weszli do Katowic po złamaniu oporu harcerzy i powstańców. Proces był krótki. Według przygotowanych list wyciągali Ślązaków z domów i rozstrzeliwali. Oberbäckermeister Heinrich Krakowsky przypiął protezę i Eisernes Kreuz, do jednej ręki wziął Kriegsinvalidenausweis, do drugiej laskę, pobiegł wręcz na sąsiednia ulicę i po krótkiej rozmowie z dowódcą plutonu, wyciągnął sąsiada i jego dwóch synów. Lojalny polski policjant mógł się przecież przydać. Powstanie przemilczeli. Takie to i było powstanie. Powstańcom krowy obiecano, a nawet kozy nie dostali. Teraz miałby oddać za to życie?

Otto w Reichu zmienił nazwisko na Kraft. Poszedł na wojnę na ochotnika. Pod Stalingradem urwało mu rękę i wycięło kawał nogi. Dostał za to żydowską fabrykę wody sodowej i lemoniady w jednym z polskich miast. Robotnicy go nie kochali. Mały, złośliwy, jurny kaleka. Leśni złożyli mu wizytę i poprawił się. Dziewczyn już nie podmacywał, ale za to codziennie zawieszał na umówionej gałęzi worek z prowiantem. Przez kilka miesięcy panował spokój. W mroźną noc kamień wybił szyby w sypialni. Wyjrzał przez rozbite okna. Pod nim stał młody mężczyzna. Ruscy idą. Zdołał spakować, co się dało i uciec przed nadejściem frontu. Wrócił do Niemiec, które już nie były niemieckie. Ukrył się na wsi u krewnych żony. Smolkowie to prości i przyzwoici. Powinowaty to tak jak krewny. Krakowsky wydziedziczył tego syna. Tu Paula była po stronie męża. Nazwisko to jak wyznanie – nie zmienia się go. Nie rozbawiło go nawet, kiedy się dowiedział, że jego syn ukrywa się w chlewiku razem z niejakim Kotem, powstańcem śląskim, który tak naprawdę nazywał się Köhler. Kraft mit Kot, albo Krakowsky mit Köhler. To nie był jego problem. Synów miał dwóch – sumienie jedno.

Oberwachtmeister Heinz Krakowsky nie wrócił z frontu wschodniego. I on poszedł tam na ochotnika. Kiedy w mundurze, na którym widniały miecze na swastyce na liściach dębu w drodze z Breslau do Lemberg, z urlopu na front, odważył się zajrzeć na Mühlstraße, żeby pożegnać się z matką, Heinrich rozbił mu głowę laską, krzycząc: Du bist ein Krakowsky, und kein Idiot. Ein Bein reicht. Paula nie zdążyła objąć, ucałować i pobłogosławić ukochanego syna.

Matka wyłysiała z bólu. Po dwóch latach ktoś niby rozpoznał Heinza w ujętym Wehrwolfie, ktoś go rozpoznał wśród Niemców prowadzonych do Schwientochlowitz z Schönwald albo ze Skoczowa. Paula postradała zmysły. Nieustannie szeptała modlitwy do świętego Antoniego.

Triumfowała Edith. Ona wybrała właściwie! Krótco się chełpiła. Jakiś Rosjanin mówiący po polsku aresztował Wydrę. Na wypadek, gdyby mu się zachciało nowego powstania. Uciekł im, jak też uciekł hitlerowcom po obronie Katowic we wrześniu 1939. Lasem Kochłowickim dostał się do Łabęd. Jakoś mu się upiekło.

Die Russen weszli do Ligoty tylko na chwilę. Wieś była licha. Potraktowali wieśniaków wspaniałomyślnie, bo sołtys mówiący po polsku i po rosyjsku pokazał im listę mieszkańców z polskimi nazwiskami i domy Niemców, czyli ewangelików. Zadowolili się kilkoma gwałtami – ale co to za gwałty... Postrzelali po oknach i drzwiach dla przestrogi, na zawsze zabrali z sobą kilku mężczyzn. Zastrzelili jeńca wojennego, który uciekł z pobliskiej filii KL Auschwitz, a właściwie fabryki amunicji i ukrywany przez Franziskę Olbrich przez kilka lat w jej krytej słomie chałupie nad Kozłówką chronił swe życie przed hitlerowcami. Swoim wyszedł naprzeciw z radosnym wołaniem na ustach. Tak skonał skoszony serią z kałacha. Wyzwoliciele poszli do Rzeczyca, gdzie ich dowództwo zamieszkało u jednego z większych gospodarzy. Oficerowie pili w miarę i trzymali żołdactwo za mordę. Żadnych wybryków nie darowali. Pierwszy żołdat dostał kulę w łeb i skończyły się grabieże. Kiedy sztab powędrował dalej, towarzysze zabitego zgwałcili i wyrznęli gospodarzy. Wrzucili Niemców do gnojownika

i tyle. Sztab wrócił po kilku dniach do swojej kwatery. Do gnojownika dorzucili rzeźników. Nie gwałcili ich – dowódca osobiście ich zastrzelił. Anton żył pod podłogą w małym pokoju. Adelheid z Karl – Heinzem, godającym po wasserpolnisch wynosili do Gleiwitz auf den Schwarzmart, co tylko dało się zamienić na opał i jedzenie. Więzienie w Gliwicach omijali – udawali też, że nie widzą świeżo przerytej ziemi. Od kobiet w szynwołdzkich strojach trzymali się z daleka. Ciągnięcie sanek dziesięć kilometrów w jedną stronę dziesięć w drugą przyspieszyło kolejny poród.

Do szkoły w Ligocie już nie wrócił stary Ledwon. Został w Tarnowskich Górach, dokąd go przeniesiono karnie za manifestowanie przywiązania do Starego Fritza. Friedricha by mu jeszcze darowali, może i to, że w klasach wisiały obrazy z wojen śląskich a nie der Führer. Jednak stary nauczyciel odezwał się nie w porę i nie na miejscu, dając świadectwo znajomości niemczyzny. Siedział sobie na stołku przed szkołą i kurzył swoją fajfka, jak zwykle po lekcjach. Bo co miał do roboty. Pole obrabiali ojcowie uczniów, gotowały matki, a w warzywniaku pielili sami uczniowi, ci dobrzy – w nagrodę. Siedział i kurzył, patrzył w niebo nie widząc swych niedorozwiniętych uczniów, uparcie łączących w te i nazad, jakby giez ich ciął, ostentacyjnie wyciągających swe brudne łapy i wrzeszczących: Heil Hitler, Herr Ledwon! Heil Hitler, Herr Ledwon! Heil Hitler, Herr Ledwon! Skąd te wypierdki wiedziały? Przecież na powitanie przed lekcją machał jakoś i mrucał coś. To była jego odpowiedź na ich codzienne: Heil Hitler, Herr Ledwon! Tym razem wytrzepał fajfkę, schował do kieszeni na piersi, wstał i powiedział: Der soll sich selbst heilen. Ktoś doniósł. Ktoś pogroził. Ktoś się wstawił. Nowa nauczycielka była repatriantką. Berezowska. Pierwsze, co zrobiła, to pozmieniała dzieciom imiona: Ingeborg Magdalene została Magdaleną, Gerda Marią, Christa Krystyną, Karl Heinz to Karol. Borowsky to Borowski i tyle. Dzieci polubiły nową nauczycielkę. Nie biła, była cierpliwa. Czytała im wiersze, rytmicznie recytowała z uczniami. Śpiewała piosenki. Pięknie opowiadała, mówiła bardzo wyraźnie. Słabi u Ledwona byli słabi u Berezowskiej, dobrzy pozostali dobrymi. Borowskie i Karol byli dobrymi uczniami. Uczyli się szybko. Czytać pisać i mówić. Tylko ich matka do końca życia nie nauczyła się po polsku. Nie chciała. Była tą Niemką – katoliczką.

27 stycznia czerwoni weszli do Katowic. Zaraz za frontowymi podążyły oddziały NKWD. Zabrali Krakowskiego. Wyciągnęli go przyjaciele i podwładni. Piekarze byli potrzebni.

Zaświadczenie

Stwierdzam, że pan Krakowski Henryk zatrudniony był w Piekarni Polowej n 83681 od dnia 20/I 1945 do dnia dzisiejszego.
Katowice 3/3 45

Szef piekarni

/-/ podpis nieczytelny

Oświadczenie

Stwierdzam, że znany mi obyw. Krakowski Henryk był nie tylko lojalnym w czasie okupacji, ale nawet pomagał mojej rodzinie podczas mego pobytu w obozie w Hannowerze.

Po powrocie z Niemiec (14.12.1944) pytając się zatrudnionych w firmie Marticke polaków o ob. K. otrzymałem opinie bardzo dobrą.

Mrowiec Wilhelm
sierżant W.P
R.K.U. Katowice

Attestation

Nous, toussignes, francais employes de la firma Marticke, declarons que Monsieur Krakowski Henri cantramaitre de cet etablissement, a toujours ete four nous d'une correction parfaite et s'est toujours effor ci d'améliorer nos conditions de vie. Monsieur Krakowski remplissait ses fonction avec lapante, et a jamais exerce sur nous de pression politique.

Cette attestation est faite l'aux Vendredi 9 Mars 1945 et signes par tous les employes francais.

/-/ Keller Ivan, Poirot Emile, Lampe Jules, Marcel Cuvey, Verne i 7 podpisów nieczytelnych

Zaświadczenie

Zaświadcza się, że p. Krakowski Henryk pracuje w mojej piekarni w charakterze czeladnika piekarskiego.

Piekarnia ta wypieka wyłącznie chleb dla wojska Polskiego i Rosyjskiego dla garnizonów Katowice, Chorzów i Tarnowskie Góry.

Ze względu na długoletnią pracę w tej piekarni, jest obeznany z wszystkimi czynnościami technologicznymi jak piecami mech. i maszynami. Dlatego też jego obecność ze względu na brak odpowiednich fachowców i ze względu na czynność jaka to piekarnia spełnia jest konieczna.

Prosimy wszystkie władze o możliwe niepociąganie Krakowskiego Henryka do żadnych innych prac.

Katowice, dnia 25.6.1945

PIEKARNIA

Antoni STASZEWSKI
Katowice ul. Młyńska 17

Szkoła w Ligocie miała dwie sale. Klasa pierwsza, druga i trzecia uczyły się w jednej. Czwarta i piąta w drugiej. Nauczycielka biegała między salami i uczyła wszystkich równocześnie. Klasy szósta i siódma chodziły do Brzezinki. Na szczęście Ligocioki już nie mówiły po niemiecku, a te, co godały? No tym się dostawało. Chłopcy z krwawiącymi dupami uciekali przez okno. Poloki były różne. Kierownik szkoły był inny niż Berezowska. Nikt nie wiedział skąd on, nikt nie miał odwagi powiedzieć wprost, że to jakiś znajomy naczelniczki więzienia z Gliwic. A ta miała znajomości i sposoby.

Inga, przepraszam, Magdalena, tak się wyróżniała, że poszła do liceum pedagogicznego i po małej maturze uczyła rosyjskiego w tepedowie w Łabędach. Zaangażowała się i doniosła na ojca. Przyszli po niego, ale go nie znaleźli. Nie mógł iść do pracy... Jak wykarmić najmłodszą? Matka nie miała pokarmu. Gerda i Christa chodziły z Antonią na spacer. Rwały owies do kieszeni, w domu tłukły go młotkami i gotowały – tak wykarmiły siostrę. Najstarszej nie lubiły, bo zawsze pięknie mówiła i recytowała uduchowiona –czy to życiorys Führera, czy to generalissimusa.

Nawet Władek i Jadzka – polscy Borowscy odsunęli się od niej. Była przedsiębiorcza i wyszła za męża. Za Niemca, któremu zabroniła mówić po niemiecku. Paul był miękki, wołał się przytulać niż kłócić, co wkurzało żonę. W szkole obcowała z twardymi komunistami. Tego się nie zapomina. No może rozsądek by chciał...

Na Brynowie Lucek pracował u Kaszy. Codziennie przynosił świeży dwukilowy chleb. Dla matki i trojga rodzeństwa.

Rusy widząc jego pracowitość, głaskali go po jasnych włosach. Na szczęście jeszcze jesienią zdążył spalić mundurek hajota. Chcioł tam dostać nowe strzewiki, bo stare ojciec mu spalił. Solidne angielskie. Nie mógł wrócić do 1. FC Kattowitz bez nich. Czekali na niego. Do niedawna nazywali go małym Wilimowskim, bo też miał sześć palców u jednej nogi. Do piłki jednak nie wrócił. Wstydził się iść bez tych spalonych korków. Kochoł je i dboł o nie Kiedy mu powiedzieli, że to jego, to wziął je do domu, napastował szmalcem, żeby były cienkie i mienkie, ale dalej cisły i na meczu zdarły mu piątki. Ktoś ze starszych graczy, poradził, żeby do nich na noc nasikoł, to wtedy zmienknom. Taki gupi nie był. Nigdy tego ojcu nie zapomniał i na złość lekcewazył szachy i skata. Takie myślenie to nie dla niego. Na fusbballplacu to co innego, miał obie nogi i nigdy nikt nie wiedział w kero strona bydzie kiwoł i kierom nogom przywali – ze szpany abo z efyja. Manek Lubina to był karciorz fest. Tasował jak kuglarz, rozdawał, że nikt nie nadązał wzrokiem, licytował, jakby miał liczydło w głowie, grał najchętniej hercami albo kreucami. Jakby i przegrywoł, to przy liczeniu zawsze miał najwięcej punktów. Bojta, kocioł, sziber, koszyki – to był jego drugi żywioł. No i gołębnie. Gołębnie, gołębnie. Pocztowe i poloki. Futrowoł je przed szychtom i po. Patrzył jak krążą nad finami. Kurde roz bych tak chcioł. Czasami dowoł młodziki majstrowi. Ten ich nie jadł. Prezentował je jakiemuś piekarczowi w Katowicach. On som nie móg. Kiedyś natrzaskoł Stefanowi, jak ten głowy młodzikom obgryzoł, a przecież wystarczy ukręcić. Nie trzeba się popisywać.

Stary Kasza wiedział, że jego uczeń go przerośnie. Miłe to było uczucie. On majstra nie przerośł. Za to jego synowie mu wstydu nie przynieśli - walczyli jeszcze gdzieś po lasach o taką Polskę, dla której on w młodości bił się z Niemcami. Na szczęście nigdy się z tym nie obnosił. A nazwisko miał niegroźne i zawód też. Dobrze, że ten chudy blondynek przyjdzie, rozpali piec i przygotuje słodkie. Wieczór w knajpie u Singera z cukiernikiem Długajem z Chorzowa zmęczył go bardziej niż dawniej, z trudem zdejmował buty i skarpety. Miał dość. Zasypiał na stojąco, kiedy usłyszał rumor w pokoju synów. Witek i Władek wyskakiwali właśnie przez okno na piętrze i znikali w Parku Kościuszki. Czyżby marzenie przeobraziło się w sen. Chłopcy w domu? Piwo go powaliło na łóżko – nocni goście weszli wywalili drzwi na ganku, wpadli do jego sypialni i z politowaniem pokręcili głowami nad nieprzytomnym, od którego wionęło nieprzyzwoicie tanim piwem wymieszanym z gorzołkom z Panewników, a kiedy jeszcze do tego smrodu pierdnął jak koń, wyszli z pokoju ze śmiechem i przekleństwami. Klęli, oj klęli po mistrzowsku. Kaszy nic nie było w stanie obudzić. Goście zabrali, co się dało i przydać mogło, pociągając nogą za nogą, leniwie ruszyli za tropionymi. Szukali ich w spichlerzu i pod wieżą. Nie za bardzo chcieli znaleźć, bo bali się granatów w nocy. Chłopcy Kaszy mieli doświadczenie bitewne, oj mieli. Z Wehrmachtu uciekli do Andersa, przeszkolenie w Anglii. Cichociemni. Dziś przyszli lasami z okolic Włoszczowej. Chcieli zobaczyć ojca i udać się dalej do Mikołowa i Pszczyny, przez góry na Czechy i tyle. Wyszło inaczej. Prawie jak zawsze.

Lucek przyszedł do piekarni wcześniej. W ciastowni Kasza biega wzdłuż bojty. Przygląda się uważnie. Bierze między kciuk i wskazujący szczyptę mąki z pierwszej kupki, trze, podnosi do ucha i słucha, znowu się przygląda, wacha, smakuje, chodzi chwilę i jak poprzednio bada mąkę z następnej kupki, i z następnej, i z następnej. Siada na chwilę na stopniach przy piecu. Podchodzi

do stołu i znów przygląda się uważnie. Bierze między kciuk i wskazujący szczyptę mąki z pierwszej kupki, trze, podnosi do ucha i słucha, znowu się przygląda, wacha, smakuje, chodzi chwilę i jak poprzednio bada mąkę z następnej kupki, i z następnej, i z następnej. Żyje w swym nikomu nieznanym świecie. Nie zauważa obserwującego go od dłuższego czasu chłopca. Wreszcie odwraca się i mówi: Co tak patrzysz? Myślisz, żech zgupioł. Zgodnij, co robia? Badacie monka! A dyć, bo nie z koźdyj monki bydzie chlyb. Monka trza dobrać jak baba, żeby się dzieci nie wstydzić. Jo moja obwonchiwoł roków co niemiara. Obmacywać, żech nie obmacywoł. Ani się torł. Dała mi dwóch szwarnnych i frechownych karlusów i umarła. Mom grób, pamiyńc i synów. No dobre teraz momy robota. Panie majster, dejcie, jo prziniesia monka. Dobre, ale po pół worka, co byś się nie oberwoł. Wiedzioł, że ten Lucek, to kawał chachara. Na początku miał ich dwóch. Ten starszy, Erich, uczeń nie lubił Lucka i robił mu roztomaite kawały. Skończyło się w karnawale. Erich spóźnił się do roboty. Musiołech kuchnia sprzątać i sztrichować. Bania na byfyju dupła. Coś ty, Erich, ktoś wom do bani narobił? Co ty nie powiesz? Dziwowl się Lucek.

Krakowski już nie był szefem piekarni. Nadal dbał o dobry węgiel, zamawiał mąkę w zaprzyjaźnionym młynie. Decydował, kto ma pracować na której zmianie i kiedy uczeń podchodzi do egzaminu czeladniczego, a czeladnik do mistrzowskiego. Nic właściwie się nie zmieniło, choć obecnie zatrudniano go jako magazyniera. Rzadziej się uśmiechał. Rzadziej też krzyczał. Nikogo nie bił laską. Der alte Krakowskÿ był uparty. Złożył wniosek o rehabilitację. Nie był Pole, ale Niemcem hitlerowskim też nie był. Był Oberschlesier, a właściwie Preuße. Lepiej rozumiał się z sąsiadami niż z całym wielkim światem.

Wtedy wiedział, że jeżeli temu gówniarzowi z Alzacji nie opatrzy rany, to właściwie po co żyć. No i przyszło żyć bez nogi. Dobrze, że jaj nie urwało. Chociaż... może już nie katowałby Pauli. Dała mu czworo dzieci, cztery obowiązki, nie, żeby się wykręcał. Kochał te dzieci, ale były jakies dziwne.

Rozumiał dobrze treść wezwania, bo wytłumaczyły mu to Lejczykowa i Nygowa. Czytał je kolejny raz.

SĄD GRODZKI w Katowice

Katowice, dnia 2.4.1946

Oddział rehabilitacyjny

Znak akt: R5727/45

WEZWANIE

W sprawie rehabilitacyjnej wzywa się Obywatela(kę) na zasadzie art. 1, 2, 11 i 13 przepisów o kosztach sądowych (Dz.U.R.P. Nr 15, poz. 89 z r. 1945) oraz art. 1, 3 i 4 dekretu o kosztach sądowych w postępowaniu rehabilitacyjnym (Dz.U.R.P. Nr 25, poz. 150 z r. 1945) do uiszczenia w ciągu dni 7-miu od doręczenia niniejszego wezwania – pod rygorem skutków prawnych –

- a) tytułem wpisu stałego kwoty.....500 zł.
- b) tytułem zaliczki na koszty postępowania.....200 zł.

załączonym blankietem nadawczym P.K.O Nr.....

lub przekazem pocztowym na rachunek Kasy Sądu Grodzkiego w Katowice

podając znak akt sprawy, względnie w Kasie sądowej w Katowice przy ul. Andrzeja 16/18 pokój nr 29.

pieczętka – podpis.

Za chwilę miał przyjść Wincenty Waniek. Poukładał na stole pisemne oświadczenia, Francuzów i Polaków, którzy pracowali przymusowo w piekarni. Sąsiedzi zeznali nie tylko, jak Krakowski wyciągnął z więzienia, ale też o tym, że Krakowsky przez cały czas dokarmiał rodzinę powstańca

i innych mieszkańców Mühlstraße 17 - 19. Wielu jego piekarzy przyjedzie stawić się za starym Niemcem. Zastanawiał się, czy w swoim położeniu poczęstowanie sąsiada cygarem i kawą jest dobrym rozwiązaniem. Przyniósł pióro, formularze. Waniek ma nie tylko piękne pismo, ale i świetnie radzi sobie po polsku - bez niego tego nie napisze. Sąsiad przyniósł przez niego zebrane oświadczenia – Długaja i Mrowca oraz swoje porządnie spisane na maszynie:

Zaświadczenie

Niniejszym poświadczam, że obywatel Krakowski Henryk zam. w Katowicach przy ul. Młyńskiej nr. 17 m. 9 jest spółlokatorem od mniejwięcej 23 lat i spokojnym i porządnym człowiekiem Nigdy też polaków nie krzywdził o ile mi jest wiadomem nawet i za czasów okupanta.

Co do mojej osoby i rodziny mojej to był zawsze życzliwym i względnym mimo to iż byłem wśród innych spółlokatorów Niemców znany jako Polak. Zwłaszcza za czasów okupanta kiedy w roku 1939 wkroczyły wojska niemieckie a ja i dwu moich synów zostaliśmy aresztowani, to wystąpił w naszej obronie i tym samym uratował nam życie, co zaręczam w miejsce przysięgi własnoręcznym podpisem.

Katowice, dnia 25 kwietnia 1945 r.

/-/ Waniek Wincenty

Krakowski przeczytał, zrozumiał, ile mógł, poprosił Wańka o przetłumaczenie, poszedł do kuchni po filiżanki, spodki i łyżeczki, zaparzył kawę, wyciągnął dwa hawańskie cygara jeszcze sprzed wojny. Kupione u Borinskiego, a może wygrane w skata. Usiedli, spojrzeli sobie w oczy, zapalili, pomilczeli, bo ani jeden ani drugi gadatliwy nie był. Waniek zabrał się za formularze. Pisząc pytał i cierpliwie proponował sformułowania. Te zaaprobowane przekładał najwierniej jak umiał na polski i zapisywał. Zaczęli od Pauli, bo sprawa wydawała się prostsza.

Przeczytali uważnie wezwanie:

Wniosek rehabilitacyjny
osoby, wpisanej do drugiej trzeciej bez zastrzeżenia
odwołania grupy niemieckiej listy narodowej

Katowice, dnia 23. czerwca 1945

Do SĄDU GRODZKIEGO
w Katowicach

Wnoszę o uznanie mnie za zrehabilitowanego – ną.

Szczegółowe dane personalne.

1. Imię i nazwisko: Krakowska Paulina z domu Thiell
2. *Data urodzenia:* 26. kwietnia 1887
3. *Miejsce urodzenia:* w Ober-Glogau pow. Głupczyce G/Śl.
4. *Imiona i nazwisko rodziców, nazwisko rodowe matki:* Józef i Agnieszka Thiell z domu Fleischer.
5. *Obywatelstwo:* polskie
6. *wyznanie:* rzym.-katolickie
7. *zajęcie (zawód):* żona inwalidy
8. *wykształcenie:* niem. szkoła powszechna
9. *stan cywilny:* mężatka
10. *imię (nmazwiskorodowe/ zawód drugiego małżonka:)* Henryk. Czeladnik piekarski
11. *11. dzieci do lat 14-tu (imiona i daty urodzenie):*

a).....urodz.....
b).....urodz.....
c).....urodz.....

12. *Stan majątkowy*: nie posiadam żadnego majątku

13. *Służba wojskowa*: -/-

14. *Ordery i odznaczenia*: -/-

15. *Kary sądowe*: -/-

Miejsce zamieszkania.

a) *w dniu 1 stycznia 1945*: Katowice, ul. Młyńska 17 m. 7 oficyna

b) *w chwili wpisania do niemieckiej listy narodowej*: Katowice, ul. Młyńska 17 m. 7

c) *w chwili stawienia wniosku rehabilitacyjnego*: Katowice, ul. Młyńska 17 m. 7

Okoliczności i dowody uzasadniające wniosek

Naprowadzić okoliczności stwierdzające, że wnioskodawca został po dniu 31.8.1939 r. wpisany do drugiej – trzeciej grupy bez zastrzeżenia odwołania – niemieckiej listy narodowej, a to wbrew swojej woli lub pod przymusem, a swoim postępowaniem wykazał polską odrębność narodową, oraz powołać dowody na poparcie uzasadnienia – dokumenty, świadków, itp.

Wysoki Sądzie!

Jestem żoną b. Mistrza piekarskiego, Henryka Krakowskiego, który od 36 lat pracuje i razem ze mną zamieszkuje w Katowicach, ul. Młyńska 17.m.7. Kiedy mąż mój musiał się do Volkslisty wpisać, a nie pozostało jemu nic innego, gdyż jest inwalidą wojennym z r. 1914 – 18. była, do tego i ja zmuszona, jako żona jego, nie chcąc kalekę zostawiać samego. Tak i ja, jak i mój mąż popieraliśmy zawsze Polaków. Nie zajmowałam się okupacyjną polityką, gdyż byłam dostatecznie przy moim gospodarstwie domowym i mężem kaleką, zajęta.

Proszę przeto Wysoki Sąd o Obywatelstwo polskie.

Świadkowie: ob. Waniek Wincenty, ob. Orczykowski Antoni, ob. Szitek Antoni

/-/ Paulina Krakowska

Kiedy skończyli, zabrali się za sprawę R 5728/48. 20 marca 1947. Wypali drugie cygaro, Uścisnęli sobie dłonie. Jutro to zaniósę na Andrzeja. Poproszę, żeby szybko poszło, żeby powiedzieli, jakby jeszcze czegoś brakowało. Krakowski odprowadził sąsiada do drzwi. Waniek dotrzymał słowa. Prokuratura Sądu Okręgowego zaniechała ścigania i dokonała wpisu w rejestrze rehabilitacyjnym. Trzy lata później Paula zawnioskowała o poświadczenie obywatelstwa, co potwierdził Starosta Grodzki. Potrzebowała tego dokumentu na wypadek śmierci. Niemcom mogli odmówić pochówku. Ważne to było dla mieszkania, pracy, ubezpieczenia, emerytury, sanatorium.



Dozorca Pohl zamiata podworko i śpiewa:

Na kogo Bóg łaskawie spojrzy, Ten dąży w dal, w szeroki świat, Ten cuda światów skryte dojrzy, Gór, lasów, rzek i łąnów kwiat.

Leniwcy, co się w domu pierzą, Nie ujrzą słońca złotych zórz, W zaduchu chałup nędznie leżą, Nie znają śpiewu, wina, róż. Strumyki z gór wesoło skaczą, Skowronki z śpiewem lecą wzwyż; Precz troski, co żałośnie kraczą – Chcę śpiewać - smutki precz, a kysz! Następnie obaj śpiewają razem.

Nach der ersten Strofe schließt sich aus dem Fenster im zweiten Stock Hinderthau die Stimme des alten Bäckermeister an.

Die Trägen die zu Hause liegen, Erquicket nicht das Morgenrot, Sie wissen nur von Kinderwiegen, Von Sorgen, Last und Not um Brot.

Die Bächlein von den Bergen springen, Die Lerchen schwirren hoch vor Lust, Was soll ich nicht mit ihnen singen Aus voller Kehle und frischer Brust?

Den lieben Gott laß ich nun walten, Der Bächlein, Lerchen, Wald und Feld Und Erd und Himmel will erhalten, Hat auch mein Sach aufs best bestellt

Okno drugie piętro oficyna po prawej:

Mariańska: Proszę o ciszę, proszę o ciszę. Cicho, cicho. Odmawiam różaniec

Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:

Plewa: Sama być cicho, babo tusto, przeca łoni do Boga śwpiywajom.

Okno drugie piętro oficyna po prawej:

Mariańska: Ja odmawiam różaniec, do Matki Boskiej Królowej Polskiej.

Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:

Plewa: Niy znom.

Okno drugie piętro oficyna po prawej:

Mariańska: Różańca pan nie zna.

Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa: Różaniec znam. Tyż rzykom. U nos w robocie bez rzykania sie niy do.
Okno drugie piętro oficyna po prawej:
Mariańska: Sam pan widzi.
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa: Widza, widza, ale mie ich śpiywanie nie sztyruje.
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber - Mosz?
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – A ty mosz?
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – No mom.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – A coś do tego?
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – Dziś możesz ty przyniść. Nie mom nic. Biyda.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – A co mosz?
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber - No mom.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – Ale nie mosz nic do tego.
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – To ty przynieś.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – To przyić do mnie.
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – Akurat – na czworte pientro!
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):

Sierpińska – A jo na trzecie..
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – Jedno meni.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – Ale w hinterhauzie.
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – A ty z przodku. No ja. Fajnie.
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa – Bedziycie cicho gupie baby. Spać chca. Bołzech na nocce.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – Somżeś gupi. Na nocce żeś boł?
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa – Na nocce..
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – A to ty stary zdychloku jeszcze w nocy robisz?
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – Dej mu pokój. On już gupszy nie bydzie. Ino sie asi.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – Jak chesz, to se przyić do nos.
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa – Ale kaj.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – A kaj byś chcioł?
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa – Niy wiym.
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – A mosz co?
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa – Nie mom.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – Niy mosz?
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa – Niy mom.
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – Nic niy mosz?
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa – Cipsa mom.
Okno czwarte piętro front (niewidoczne):
Sierpińska – To przić.
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa – Ale jo jest po nocce.
Okno trzecie piętro oficyna po prawej:
Silber – No śpij pieronie.
Okno pierwsze piętro oficyna po prawej:
Plewa: Ida, ida.
Okno trzecie piętro oficyna po lewej:
Krzykalska: Kubicowa, Kubicowa!

Fenster erster Stock Hinterhaus links:
Kubica: Tak, jestem. Pamiętam. Zaraz będę gotowa.
Okno trzecie piętro oficyna po lewej:
Krzykalska: Bo za chwilę przyjdzie towarzysz sierżant z kolegą.
Fenster erster Stock Hinterhaus links:
Kubica: Już idę.
Fenster erster Stock Hinterhaus rechts:
Plewa: Tyż przida.
Okno trzecie piętro oficyna po lewej:
Krzykalska: A po co. Pan nie jest zaproszony. 3)

Zły los spotkał sąsiadkę spod numeru 6. Hildegardę Konopkę, służącą i mamkę Silberstmannów, wyrzucono do piwnicy na Zabrskiej i zatrudniono w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania jako Helenę. Uratowała stół, cztery krzesła, sekretarzyk i łóżko. Batystową pościelz haftowanymi inicjałami HP. U sufitu zawiesiła mosiężny żyrandol na ścianie lampkodo kompletu – wszystko prezenty od jej państwa, zanim ci spokojnie opuścili Katowice i przez Hamburg wyjechali do Argentyny, z Hamburga kuzynka Silberstmannowej wysłała kartkę z katowicką synagogą do swej siostry, która została w Katowicach jako znak, że udało im się dostać na statek z całym bagażem. Adresatka zginęła w Powstaniu Warszawskim razem ze swoim górnośląskim mężem – ale tp już inna historia. Silberstmannowie zdążyli na olimpiadę szachową w Buenos Aires, którą wygrała

drużyna III. Rzeszy (też dlatego, że Polacy i Francuzi zrezygnowali ze spotkań z hitlerowskimi olimpijczykami poznali Paulina Frydmanna i często bywali w jego knajpce, gdzie dzieci brały lekcje szachów. Młody Silberstmann wrócił do Katowic w 1948 i przez 20 lat zajmował dawne mieszkanie swych rodziców, pospiesznie opuszczone przez jakiegoś dalekiego krewnego gauleitera. O służącej przypomniał sobie po narodzinach bliźniaków. Właściwie to nie on na to wpadł, a raczej jego żona, z domu Glick, która nie życzyła sobie, żeby musiała zrezygnować z tajnego mecenasu nad prymitywistym z Nikoszowca. Złożył jej wizytę. Nie zgodziła się na opiekę nad maluchami. Nie, nie obce dzieci – nie. Swoich nie miała. Nie te lata, nie ta cierpliwość, nie ten świat. Przyzwyczała się do zamiatania ulic. Nie mówiła też po polsku. Trudno jej też było wyobrazić, żeby dzieci mówiły w trzech – pięciu językach równocześnie. Zdolne te dzieci są niewątpliwie, rodzinne, ale wielojęzyczność prowadzi do nadwrażliwości, do cierpienia – rozumie się wielu ludzi, a rzadko kto rozumie ciebie.

Zresztą jej mieszkanie zajmowała od kilku lat rodzina z Małopolski. Ludzie ci byli groteskowi. Ona wielka, cycata, bo trudno to nazwać biustem. To były wielkie wymiona. On sięgał jej do cycków. Chudy i mały, bo rzadko mu dawała possać. Musiał zarobić na siebie. O dziwo, robił to znakomicie. Genialny kucharz w katowickiej Polonii. Dorabiał kelnerowaniem. Cieszył się wzięciem u kobiet. Jak każdy karzeł z dużym... Sąsiadów zjednał sobie śledziami. Był kelnerem w Polonii. Wynosił stamtąd rarytasy, które pojawiały się w oficynie domu Marticke – co nie było zabronione. Taki rodzaj ucziwego deputatu. Resztki ze stołu czerwonych władców. Oprócz śledzi w śmietanie śledzie w oleju, no i prawdziwe matiasy. Polski bigos, gołąbki, pierogi i kielbacy: krakowską i szynkową. W pracy bywał zmuszany do usługiwania jak jakiś podstoli, służba ta była uzasadniona – syty i podpity służący niczego nie wygada – ani przed babą ani przed przełożonymi. Jakimi przełożonymi? Czerwona nalepka... Podpity skradał się chcąc minąć drzwi Kostka Plewy, czatującego na niego, z ćwiartką co najmniej, na pierwszym piętrze. Konstany wysuwał swoją łapę, łapał Kubusia za oszewę i wciągał do mieszkania, Po jakiejś godzinie celowali w dziurkę od klucza piętro wyżej. Kuba agresywniał. Kostek wkładał okulary. Zanim trafił w dziurkę, Mariańska w przykrótkiej koszulce otwierała drzwi, odbierała męża jak przesyłkę pocztową. Zamykała drzwi, słysząc było kilka policzków. Kto komu, raczej było wiadomo. Potem mlaskanie. Dup, dup, dup. Oj, dużo dłużej niż kilka minut. Wreszcie oczekiwany przez wszystkich głęboki krzyk. Zapalały się światła u zazdrosnych sąsiadek. Paula zastanawiała się, czy tędy nie wiedzie droga...

Henrykowi Krakowskiemu dokwaterowali lokatorów. W tych dwóch klitkach mieszkało ich ośmioro: mąż, ona, Gerda, dokwaterowani: Orczykowscy z Zenkiem, Janka i Marysia. Janka szyła.. Jej, bo to ona musiała sprzątać, prać, gotować, robić zakupy. Posprzątanie dwóch pokoiów, ubikacji i kuchni trwało dłużej niż sprzątanie przestronnego domu. Pranie to było moczenie w aluminiowej wannie, płukanie, gotowanie w aluminiowym kotle, ręczne pranie, wykręcanie, płukanie, wykręcanie i wynoszenie dwa piętra wyżej na strych. Gotowanie w węglowym piecu z trzema płytami zależało od zakupów i od tego, co mąż przyniósł z piekarni w deputacie. Przede wszystkim był chleb, codziennie dwa kilo świeżego chleba. Zaczyn pod żur, kiszka do kartofli. Pietruszka i cebula z doniczki na parapecie w kuchni. Ziemniaki były w spiżarni. Jajka od chłopca z Żor, który przyjeżdżał do nich po suchy chleb, a w zamian przywoził jajka. Czasami królika albo kurkę. Czerstwe bułki szły na tartą, do panierki. Z targu przynosiła to, co było sezonowe i najtańsze. Przekupy drżały na jej widok, oszukać się nie dała. Z hali przynosiła ryby i wędzone kości pod krupnik. Miała opinie skąpej. Nie była skąpa, ale mąż rozliczał ją z każdego grosza. Dokonywała cudów, żeby mieć kilka groszy dla wnuków, kiedy przyjadą, albo wyjdą po nią na dworzec. Dziś będą: jarzynowa, ziemniaki z cebulką, jajka sadzone, zsiadłe mleko i kompot z jabłek od Ewy. Heinrich czasami kładł na stole zawinięte w Trybunę młodziaki bez głów, które za receptury dostawał od cukiernika z Chorzowa.

JOUSTEN HOTEL
Fundada 1886

Buenos Aires, den 18.12.50

LIEBER Herr Krakowski

CORRIENTES 280
BUENOS AIRES

Ich muss Ihnen mal ein Lebenszeichen geben. Oft genug haben wir An Sie gedacht, an Ihre Frau, Ihre Kinder und die kleinen Enkelkinder, die wohl jetzt schön gross geworden sind. Es ist gerade jetzt die Zeit, wo wir unser Weihnacht Fest im

Betrieb feierten. Ich erinnere mich, dass mal ein Musiker mit der Harminika ständig das Lied von RIO de JANEIRO gespielt hat Als ich das erste Mal in Rio de Janeiro war, musste ich mich daran recht lebhaft erinnern.

In OS habe ich alles restlos verloren u. meine Angehörigen hatten zudem noch manches Missgeschick ertragen müssen, aber die Zeit eilt und heilt. Zunächst war ich etwa sechs Monate im Berliner Krankenhaus und dann bekam ich Arbeit in Hülle und fülle bei einer intern. Hilfsorganisation, die mich als Vertrauensmann in alle Länder u. Erdteile entsandte. Ich verbrachte seitdem die meiste Zeit im Flugzeug uns Strecken von 15000-25 000 kilometer sind mir heute nicht Neues. Von Frankfurt bis hier sind es 36 Stunden, von hier nach New York 20 Stunden, von hier nach Rio de Janeiro sind es 6 Stunden im Flugzeug. Die Welt ist klein geworden und man trifft beispielweise in Süd-amerika mehr Leute und Bekannte, als es sonst in Europa der Fall wäre. Ich wohnte in Europa hauptsächlich in der Schweiz, wo ich eine Reihe Kattowitzer durch Zufall sprach. U.A. den Seifenmacher Kollontay, den früheren Generaldirektor Tomalla usw. – Ich versuchte Ihnen von dort einige Cigarren zuzusenden, einmal glückte es, dann war es aber aus. Wenn ich wüsste, dass Cigarren als Liebesgaben zollfrei ankommen, möchte ich Ihnen mal einige echte Brasil-Havanna-Cigarren zusenden. Sie waren ja immer ein begeisterter Raucher und Brasilien ist das Land des Cafe u. der echten Havannas! Sie feiern dort sicherlich Weihnachten, hier ist zurzeit Sommerzeit mit glühend heissen Sonnenstrahlen u. einem strahlend blauen Himmel! Ich plage mich zurzeit mit meinem Rheuma und will gleich nach Neujahr Rio de Janeiro fahren und mich in Brasilien einige Wochen aufhalten, von dort fliege ich nach New York und dann über London nach Genf, wo ich einige Zeit bleibe, um dort Abstecher nach Rom und Lissabon zu machen. Dann geht es nach Kapstadt (Südafrika), wenn nicht die üble Weltsituation zu einer explosiven Entladung führt. – Ich denke oft an unsere alten Mitarbeiter und oft kam ich auf den Gedanken, einen ähnlichen Betrieb in Australien oder Brasilien aufzumachen u. Sie als Obermeister würden auch hier mit allen Schwierigkeiten fertig werden, aber man wird auch mit der Zeit alt, immerhin fühle ich mich zu jeder grossen Transaktion bereit. Wenn sie mir an die Hoteladresse schreiben wollen u. dort feststellen können, ob man einige Havanna als Liebesgabe versenden kann, will ich gern dazu beitragen, dass Sie etwas vollaromatisches Ihrer Gattin vorrauchen. Können Sie mir die Adresse von Frau Misera angeben? Auch von Fr. Margot? Ich waere Ihnen sehr dankbar dafür. Von Bekannten weiss ich, dass es dem Zahnarzt Przybylla in Bayern recht gut gehen soll, Herr Marticke soll in Thüringen oder jetzt in Hamburg einen Bäckerladen haben, Tomanek, unser Kunde von der Kosciuszki, traf mich mal in Frankfurt und es geht ihm gut, Malinski von Fa Borinski lebt in Leipzig – alles verstreut. Ich wünsche Ihnen und Ihrer Familie ein fröhliches Weihnachtsfest,
mit frdl. Gruss

Jonczyk

Przyjaciele siedzieli u Singera na Brynowie i pili przed pójściem do wojska. Mieli szatański plan. Pierwszy do ubikacji poszedł Józek. Rano miał być w swoim biurze w zjednoczeniu. Robił zawrotną karierę po linii partyjnej, więc musiał się wyspać. Do wojska go nie powołali. Nikt się nie dziwił, że długo nie wracał. Z jego słabą głową i delikatnym żołądkiem. A może po cichu poszedł do domu. Po kilku kieliszkach Broniek chwiejnym krokiem poszedł sprawdzić, co się z nim dzieje. Rozmawiali o ostatnim meczu. Rozmowa się nie kleiła. Nie przepadali za sobą.

Lucek dopił piwo i też poszedł zobaczyć, co z tymi dwoma. Paulek został przy stoliku sam. Siedział sobie w najlepsze, kiedy podszedł kelner i poprosił o uregulowanie rachunku. Co? Ja? A no Pan. A kaj reszta? Jaka reszta? No, ci trzej, co som w ustempie. Tam nikogo nie ma. Po jakiemu nie ma? Paulek próbował się wyrwać kelnerowi i pobiec do ubikacji. Co to, to nie. Ty nie uciekniesz. Płać, albo pożałujesz. Paulek wyciągnął pieniądze. Nie starczało. Zostawił zegarek. Mosh pieronie i uważej na niego. Za dwa lata go odbiera. Jak przida nazod z wojska. Pilnuj go, bo to z piyrwszj komuniji od starzika. W porządku, przypilnuję go. I nie nakryncej, bo fedra przekryncisz. To dobry zegarek.

Na zbiórkę stawil się wściekły. Gerard powitał go: Teraz wiysz, jak to smakuje, kiej mosz zabulic za kolygów? My płacili za ciebie cały rok. Józek przyszedł ich pożegnać z Krysią, frelką Lucka – miał mieć na nia baczenie Tak jej pilnowol, że sie z niom ożynił. Mama żegnał Lucka z najmłodszym na ręce. Żal jej było pierworodnego – największy nie był, pływać nie poradził... Gerarda odprowadził stary Grzeja. Zawsze był przy tym swoim chachorze. Jak groł w bala, albo w hokej, albo jak boksował. Klub bydzie kiepski bez niego. Szwarny był ten jego synek i serce miał dobre, żol ino, że tyła ślepoł. Może w wojsku go oduczą. Jakiś mundurowy coś wrzasnął, padł rozkaz i ruszyli czwórkami na dworzec. Do wagonów i do Gdyni.

Łachy oddać, golić łby i do łaźni. Kiedy wyszli wygoleni, Paulek podszedł do jednego i pyta: Tyś je nosz? Paulek, Nie w... Jo jest Gerard z Zawodzia. W pociągu jeszcześ moja gorzoła ślepoł.

Czekał na nich sierżant: Wojciech Kasza. Chłopcy nie dali nic po sobie poznać Nie byli przegrani. Pobrali broń, Gerard i Paulek zostali kompanijnymi bokserami. Paulek myślał, że w ringu trzeba się bić, a Gerard broł i stoł, potym tańcowoł na piętach i palcach bo już się naoglondoł. Zaś stoł i broł. . A potem kończył. Prosty, prosty, lewy na wątrobę i sierp na gorę. I tyle. Pluł krwią, sam sobie szyl rozbite łuki brwiowe. Nie czuł bólu. Szybko awansowali do reprezentacji floty Ale tylko Gerard przekonywał. Trafił do reprezentacji floty. Miał dużo wolnego czasu. Zaprzyjaźnił się z Kaszubami. Przedłużyli im służbę, bo coś się działo w Korei.

Na Brynowie Klarka płukała konopie, splukała wrzątkiem , wodę złała. Teraz garnek z ciepła wodą i wsypać. To pierwsza wspólna wilija: Manek wrócił z niewoli, Lucek z wojska, najmłodszy ma cztery lata. Nasionka zaczynają pękać, trzeba zlać wodę i wycisnąć ziarenka. Wyciśnięte mleczko zlewać przez sitko do przygotowanej wody. Wyciskać, dodawać wody i zlewać przez sitko. Dodać trochę soli i zagotować, ale uważać, bo kipi szybciej niż mleko i przypala się. W pierwsze święto Luzian mo przyprowadzić dziółcha. Poznoł jom w zakładach na zebraniu. Już jom widziała jak kupowała karpie na hali w mieście. Takie malutkie, chude dziecko. Na baba siy niy nado. Jak ona chce rodzic z takom małom... Nic, to trza się pogodzić. Synek jest uparty.

Szybując nad Stalinogrodem o 04.54 Dragon Lady nie mogła przeoczyć światła w oknie na drugim piętrze. W poniedziałek to nie było nic niezwykłego. Majstrowa Krakowska równo ze wschodem słońca odmawiała modlitwy do świętego Antoniego. Dziś wznosiła błagania do świętego Ignacego, świętej Małgorzaty, a przede wszystkim do babci Jezusa, do świętej Anny. Prosiła: Aniele Stróžu..., niech pomagają Pistis, Elpis i Agape. Położna masowała wielkimi łapskami między nogami jej wnuczki, a ta przegryzła ręcznik. Masowała, prosiła, groziła i pomogła. Śmiali się szczęśliwi, że chłopak urodził się pierwszego o 6.38, żeby zdążyć do pracy po wyplatę. Dobrze, że nie urodził się w niedzielę. Leander to niedobre imię, upierała się przy nim babcia Browska. Pradziadek Krakowski uciał stanowczo wszelkie spory. Będzie Aleksander – to rozsądne i piękne. Zostanie tu Polska, to nikt się nie będzie czepiał, wrócą Niemcy, to samo, Rusom też nie przeszkadza. Dla Pauli najważniejsze było, że mały był podobny do Heinza. Nie był w pierwszych dniach taki blond. Ale miał te brwi i te rysy.

Gerda gotowała dla syna, męża i dziadka. Coraz mniej soli i cukru, że torty lżejsze, że nie ma już karpia po żydowsku i czerniny. Moczka umożliwiała wysmakowanie piernika, warzyw: marchew, pietruszkę, pasternak, właśnie pasternak, suszone owoce: jabłka, gruszki, śliwki, morele, figi. Rodzynki, migdały, orzechu laskowe. Moczyła to w wywarze jarzynowym, dodawała rosółu z łbów karpi, na koniec dolewała ciemne piwo.

Ligota 15.IV.56

Liebe Eltern.

Da die Ziegen gut abgezickelt haben beide zu
2 Stück eins. Es war am Freitag

14 Tage alt, sind nur mit Milch gefüttert ebenfalls
einwandfrei geschlachtet. Gutten Appetit. Gleichzeitig
schicke ich die Miete für April. Mai, Juni 45,00

Da von der Gemeinde noch keine Steuer kam für 55 54,10
99,10

Ab 15.IV ist im Dorfe ein Wächter im Dienst
welchen die Leute von Ekguth selbst bezahlen
müssen. Den Betrag der bezahlt werden muss würde
von der Gemeinde prozentual errechnet um auf die Sume
von 400,00 raus zu kommen. Dein Teil lb. Vater als Wirt
beträgt montl. 9.00. Habe den Betrag im April 4,50

+ Mai 9,00
13,50

bezahlt und erlaube mir selbigen von der Sume
99,10 ab zu zahlen. Also 99,10 Ewa hat 75,60

- 13,50
75,60

mit und wird das Geld übergeben.

Lb. Mutter. Bitte kaufe uns wenn Gelegenheit
ist 10 Krausen mit Gummi. Habe ab heute
4 Wochen Urlaub da die Heitzperiode ab 15 IV.
abgelaufen ist. Sollte ich übriges Geld haben so komme
ich Sonnabend 28.IV zu euch auf 2-3 Tage.

Sonst ist alles gesund.

Bis dahin den herzlichsten

Gruss von uns Allen.

Ewa Montag früh nach Haus so das sie um 7.30 in Laband ist zur Schule
Otto

Luzian, was ist denn los? Warum kommst du schon nach Hause?

Die haben mich rausgeschmiessen. Nie mom już roboty. Wyciepli mnie. Przyszół taki i godo, mom sie zapisać do parti. To jo mu, iże nie moga, bo chdza do koscióła i kakbych przestoł, to nikt ze mnom nie bydzie chcioł godać, a to gańba. Wielko gańba zaprzedać sie, wyrzec sie i cyganić. Komunii i komunizmu nie poradza pogodzić. Siyngnoł żech flaszką z czerwonom kartkom i tyla – tyla moga ścierpieć czerwonego, ale jego obrazic nie chca. Nie obraził sie i pedzioł, że on wierzy w partia, a jo mom sie nie gniewać, ale robotu w zakładach już niy mom. Godołech już z Kaszom, mom przis na nocka. Tyla. Jutro wos odprowadza do pociągu zaroz po robocie. Musicie jechać same. Potem pójda do szpitala do Gerdy. Nic jej nie powiem, bo po co?

Gerda z po drugim porodzie leżała trzeci tydzień w szpitalu. Zakażenie. Na dodatek dziewczynka była słaba i nie chciała ssać.

Paula pospieszyła do maszynisty, biegła wręcz, żeby nie odjeżdżał, żeby zaczekał, bo do pociągu wsiadać będzie kaleka. Wysokie stopnie i odległość drzwi od peronu, były trudną przeszkodą. Musiał się złapać zdrową ręką, oprzeć na protezie, liczyć na to, że się nie zamknie, nie ugnie, nie złamie. Wstawić prawą, zdrową nogę do wagonu, wciągnąć korpus, a potem protezę. Paula mu pomagała. Teraz jeszcze walizki i worek z suchym chlebem. Pociąg nie zawsze czekał cierpliwie. Jeszcze konduktorowi musi przypomnieć, że wysiadać będą w Łabędach. Mokra od potu usiadła na drewnianej ławce.

Za jakieś pięćdziesiąt minut musi przygotować wysiadanie. Jeżeli na peronie nie będzie Toni, to będzie ciężko. Komu poda walizki i worek? Jak wyciągnie męża na peron, żeby nie wpadł pod koła. Z daleka widzi najmłodszą wnuczkę. Worek na ramę roweru, walizka na bagażnik. Idą w dół do śluzy, przez coraz bardziej śmierdzącą Klodkę, do kapliczki koło Bautschy i Czarną Drogą do Ligoty. Odpoczną koło wasserwerku, potem na górce, koło obrazka, przed mostkiem u Nalepy. Sześć kilometrów – jakieś dwie – dwie i pół godziny. Między kikuta a protezę wsadził flanelową szmatkę.

Przywitał się z córką, objął ją, ucałował w czoło. Zrezygnował z mięty. Napił się wody, wziął hoker, kopaczkę poszedł za dom na pole plewić ziemniaki. Przy pierwszym rzędzie odpiął protezę, Zdjął szmatkę, wytarł nią ranki na bliźnie, schował flanelkę do kieszeni, zacisnął zęby, rozkraczył się na hokrze i do roboty. Zamach prawą, lewą wyrwać i odłożyć za siebie, podeprzeć się prawą nogą, poderwać zadek, przesunąć hokie, odpocząć i zamach prawą, w której trzyma haczkę... Lubił to uderzenie: krótkie, pewne, rozstrzygające spory. Pierwszy raz bronił się nim na weselu Magdy, bodaj w 1918.

Na końcu rządka, zapalić i popatrzeć na okolicę, pomyśleć... Tak, tym ciosem mówił, nadal jeszcze jestem mężem, ojcem, werkführerem już nie, ale...

Po powrocie do Katowic zagra w karty z Nygową i Lejczykową. Paula nie umie. Nie umie, bo nie chce. Nie chce, bo nie umie. Jak we wszystkim.

Na gwoździu w spiżarni wisiały siatki i torby, wyjęła dwie. Wystarczy. Sprawdziła, czy Alex ma zawiązane sznurowadła. Sprowadziła go po schodach. Bała się, że się poślizgnie i zrobi sobie krzywdę. Poszli na targ. Auf den Markt und in die Kaufhalle. Lubiła tam chodzić. Pamiętała zadziorne spojrzenie głównego budowniczego, miał w oczach to coś, co podobało jej się też u męża Gerdy. Alex też to miał i nie było to czymś po Krakowskich.

Krakowski czcił okrągłe rocznice. Złote gody przygotował wzorowo zapożyczając się potężnie ponad wszelkie granice rozsądku. Za chwilę podjedzie bryczka i zawiezie do kościoła. Bryczka z dużymi, metrowymi kołami na twardej gumie, z przesuwającym kozłem woźnicy, żeby się mógł łatwiej wgramolić, dodatkowe hamulce. Potem przyjęcie. Nie może niczego zabraknąć. Wystarczająco dużo czystego rosółu z makaronem, pietruszką i marchewką. Puree ziemniaczane, rolady, kapusta czerwona. Deser cytrynowy. Ciasto z posypką i ciasto z makiem., własnoręcznie kręcone lody. Piwo jasne i ciemne. Czego dusza zapagnie. Dla Otto jedzenia nie starczyło, piwa było za dużo – próbował dopytać, dlaczego został wydziedziczony. Zabrał się za rękoczyny. Stary mistrz piekarski złapał za laskę, żeby skrócić synowi cugle. Lucek i Karol rozdzielili ojca i syna. Paula płakała, Heinrich schował się w sadzie i palił. Nikomu nie pokazywał twarzy. Schowany za dymem cygara spoglądał wysoko w niebo i bezgłośnie nucił coś pod nosem.

Przy placu Andrzeja mieścił się zakład fryzjerski mistrza Holewika. Jedno z nielicznych miejsc spotkań męskiej części starych katowiczów. Strzygli się tu, golili, czytali gazety, palili cygara, fajki i papierosy. Milkli, kiedy pojawiał się ktoś nieznanymi i uprzejmie, acz stanowczo ustępowali mu kolejki, żeby go obsłużyć jako pierwszego.

Najnowszą atrakcją był prawnuk Krakowskiego – Aleks. Sadzali go na fotelu dla dzieci, kazali strzyc, a to na lata dwudzieste, a to trzydzieste – zawsze jednak krótko i trzy palce nad uczeń. Aleks tego strzyżenia nie znosił. Mścił się na staruszkach, odpowiadając na ich pytania. Kiedy upierali się, że Brazylia obroni tytuł mistrza świata, zbijał ich z pantałyku, mówiąc, że bez Garinchy się nie da, a krzywonogi geniusz roztrwoniał talent, jak obecni tu panowie majątek, źle obstawiając zakłady. Kiedy go pytali, jak skończy się Zatoka Świń, mówił że Amerykanie to nie Niemcy, a Chruszczow to nie Stalin. Kiedy szeptali o murze, wyśmiewał ich, przypominając, że i wielki mur upadł, bo upaść musi każdy. Kiedy zamartwiali się śmiercią Kennedygo, pocieszał ich, że na jednym Kennedym świat się nie kończy. Stary Krakowski był tak dumny z potomka, że wręcz chciał przyspieszyć mu porost włosów i codziennie mył mu głowę szamponem pokrzywowym. Ale częściej niż raz na trzy tygodnie nie dostawał zgody od Pauli i Gerdy na wizytę prawnuka u fryzjera. Liczył lata. Niestety musiałyby pożyć jeszcze z dziesięć lat, aby pójść z Alexem na piwo. Tak by chciał, żeby coś z niego, coś dobrego, zostało.

Świat się skończył. Jutra nie ma. Uszły z niej siły. Stanie przecież kiedyś w drzwiach. Zamknie je. To koniec. Zabili go. Jak ma wyglądać wieczór? Zostanie w domu? Co z nocą? Będzie leżał w łóżku? Z nadmistrza na magazyniera, to wytrzymał. Renta i siedzenie w domu. Słysząc kuśtykanie na schodach. Jest wypity. Otwiera drzwi. Zamachnął się na nią laską. Zatrzymał cios w powietrzu nad jej głową. Krzyk zamarł mu w gardle, wykrzywiło twarz, w oczach zdziwienie, strach, przerażenie, błaganie. Proteza się nie poddała i trzymała go jak zepsutą marionetkę, złamanego w pół, pochylonego do przodu. Bezwładny, zdrową dłoń dotykał świeżo umytej podłogi, która przed chwilą doprowadziła go do ataku szału. Nawet tego nie potrafiła zrobić porządnie. Upadł. Pobiegli po lekarza. Wylew. Paraliż. Ale nie koniec cierpień.

Katowały go zapachy. Niektóre rozpoznawał bezbłędnie – inne wynurzały się i rozplywały, nie rozwiewając wspomnień zmieszanych z urojeniami i nieziszczonymi marzeniami. Dym tytoniowy przechodził w sierść mokrego psa, a ten w piżmo. Cynamon wchodził w krupnik i kawę. Przypalana skóra w dym jesiennych fojerek i biks kręconych nad głowami. Święty zapach świeżego chleba, trzaskający po nosie zdżony w zębach złotawą piętka. Głaskać kawał ciasta wyrosniętego, nadawać mu kształt bochna. Pozwolić urosnąć w słomionce. Ein Leib Brot. Ein Laib Brot. Zapach wody kolońskiej. Kilka słów spowiedzi. Usta w grymasie zamiast grzechów bełkoczą: Paula, Paula, Paula, Paula. Gib mir eine Zigarre. Paula...

Mariańska i Plewa wrzeszcząc wybiegły z pokoju z szaleństwem w oczach. On wstaje. On wstowo. On żyje. Paula weszła do pokoju, gdzie na marach spoczywał jej jedyny mężczyzna. Cóż znowu wymyślił? Całun zsuwał się sam. Powoli spływał na podłogę. Heinrich leżał sztywno z tymi swoimi zaciśniętymi ustami, jakby znowu się zastanawiał, jak z kiepskiej mąki upiec przyzwoity chleb. Spod trumny wystawały nogi Alexa i nóżki Kornelii. Dzieci bawiły się w najlepsze ołowianymi żołnierzami. Dziewczynka zahaczyła bucikiem o frędzle i spowodowała nieświadomie to całe zamieszanie. Paula wyplątała nóżkę, poprawiła narzutę i wróciła do kuchni kończyć stypę. Jutro: Kościół Mariacki, Cmentarz na Francuskiej. Co napiszą na grobie? Jakie będzie jego imię po śmierci?

Drzwi otworzyły się strasznym skrzypieniem. Na progu stała dziewczynka w atramentowym kitlu sięgającym podłogi – rękawy zakasane tak, że na mankietami udrapowano kilka fałd, warstw, jakby wręcz węzłów. Biały kołnierzyk może i był biały przy ubieraniu, ale w drodze zdążył się wybrudzić od szyi osóбки o wzroku przerażonego szczura.

„Wejdz proszę dalej, no chodź, nie bój się. Jak się nazywasz?”

Dziewczynka zrobiła kilka kroków i stanęła między rzędami ławek. „Chodź proszę. Ty jesteś Irena. Irena. Czekam na ciebie. Jesteś ostatnia.” Strach na wróble nie zareagował. „No, jak mama do ciebie mówi?” Mała opuściła oczy, otworzyła usta, wysunęła na chwilę koniuszek języka.

Zacisnęła wargi. Wbiła wzrok w podłogę. Nie poruszyła się. Wreszcie odezwała się: „Niy rozumia. Ich verstehe nicht.”

Bawisz się z nami?

A w co?

W czterech pancernych?

A kim mom być?

Niymcem.

Niymcym? Czemu Niymcym?

Weznymy cie do niewoli.

Niymcym nie chca.

Ino to zostało.

Jak to?

Janka, już mamy, Gustlika też. Grigorij jest. Nawet Olgierd jest. Lidka i Marusia to dziółchy. Czereśniak zaklepany.

Niy byda Niymcym i tyla.

To się z nami nie bawisz.

A psinco. Bawia sie. Byda Szarikiem. 8)

„Pawełku, policz do dziesięciu!” „Roz, dwa...”, „Pawełku, proszę, jeden, dwa, trzy...”, „Roz, dwa, czy...”, „Pawełku, proszę, jeden, dwa, trzy...”, „Dobrze, prosza paniom – jedyn...” „Pawełku, proszę, jeden, dwa, trzy...”, „Dobrze, wyńcej nie poradza: jedyn...”

Woźny Czapla wszedł do klasy i rozejrzał się uważnie. „Wyście som nowi, to niy wyicie, my som majstrami w szachach. Wto poradzi grać rynka do góry. Jak się nazywosz? Silberstmann, ty tysz Silberstmann? Cwilingi? A ty? Kudala? Honza? Janek! Bałaziński? Skondes ty? Z Warszawy? Niyh ci bydzie... Mosz grać, jakbys był z Argentyny...”

Fusbal tysz mocie grać – z tymi z Bytomia grajom: Okoń, Chlebowski, Lubina, Cybulski, Kudala, Kuś, Boryczko, Bałaziński, Kowalski, Jaworski, Osypka... To mi jest egal. Syndziuje Kobel – mocie wygrać z tymi synami Pogoni!”

Dzwonek u drzwi. Stali za nimi koledzy Alexa z klasy. Zaprosiła ich do środka. Zanęciła obietnicą grzanego wina z cynamonem. Kiedy weszli do pokoju, przekręciła klucz w zamku, wyciągnęła i schowała do kieszeni fartucha. Nie, na miasto ich nie wypuści. Zbyt dobrze wiedziała, jaka cenę płacą nieobliczalni gówniarze podczas ulicznych bijatyk. Nie znają strachu i są bez wyobraźni. Małe buldożki. Kiedy tylko otworzyła im drzwi zauważyła wypchane kieszenie i dziki wzrok. Nie chodziło o to, żeby tylko Alexowi zabronić, pozostali to też jej dzieciaki. Znała ich wszystkich od sześciu lat. Zaprowadzała Alexa do szkoły i odbierała. Czasami był tak zajęty grą, że musiała go wołać. Wtedy jego koledzy krzyczeli do niego: Przyszła po ciebie ta stara hitlerówka. Pobił się z nimi o to niejedyn raz. Z czasem zmądrzeli. Dziś pozdrawiają ją po nazwisku i są uprzejmi: Frau Krakowski, czy Alex może wyjść z nami na plac? Na szczęście przechytrzyła ich i tym razem. Wono już wrze, doleje ciepłej wody i doda goździków. Włączy telewizor. Niech sobie obejrzą Stawkę większą niż życie. Niech wierzą, że to tak było. Ważniejsze jest to, że zapomnieli już, po co przyszli. Poczekaj, aż matki zadzwonią, czy chłopcy znów się u niej zasiedzieli. Na pewno przyjdą ich odebrać z mężami, kiedy na ulicy będzie trochę spokojniej. Nie wierzyła w to, żeby młodzi byli temu winni. Bo niby dlaczego? Bo są szczerzy? Bo chcą dobrego świata? Bo więcej czują? Zresztą w Katowicach studentów nie było. A teatr – pożał się Boże. Rządziła siła.

Robotnicy byli zdania, że ich prawa są zagrożone. Więc nałożyli opaski, połączyli się z Ochotniczą Rezerwą Milicji Obywatelskiej i bili, oj bili gumowymi pałkami, jakby to bicie miało im dać wiarę w siebie i dostatnie życie.

Pauli nie obchodziło, czy to żydowscy komuniści pastwią się nad żydowskimi intelektualistami, czy komunistyczne wsioki chcą wygonić do Ziemi Obiecanej wszystko, co ma odwagę myśleć. Śmieszył ją ten gaduła, ojciec Ziemi Odzyskanych. Zastanawiała się, co robi, kiedy jego kobieta ma odwagę powiedzieć swoje zdanie. Dziwiła się, jak pani Gomułkowa może oglądać małżonka w gatkach. Trudno to zrozumieć. Równość dla wszystkich, ale nie dla najbliższych. Ziemię Odzyskaną, powrót Śląska do Macierzy, akcja Wisła. Ta logika mało ją obchodzi, kolejnemu kurdupłowi nie pozwoli krzywdzić dzieci. Wszystkiemu znowu winni byli Żydzi. W Katowicach?

Czapla poszedł do kierowniczkich szkoły i oznajmił, że reprezentacja szkoły w szachach już nie jest wystarczająco dobra. Pierwsze szachownice są puste, a pozostałe są po prostu słabe, bo chłopcy chętniej grają w piłkę... a tak poza tym, to ludzie uważają, że piłka jest prosta. Dodatkowo jeszcze w klasach zrobiło się luźniej. Ta blondynka Grażynka też była Żydówką? Borys też? W 1968 Europa zajmowała się swoimi sprawami. Najpierw Górnik z Manchesterem United 0-2, 0-1 – to było coś, a potem Dżajic, Riva, Charlton. Alex jeszcze bardziej zwariował na punkcie piłki. Trenował jeszcze pilniej. Latem i zimą – na klepisku w Załężu.

Meczu mu z głowy nie wybije. Zima na dworze, a oni grają... Przed bożym Narodzeniem – co to ma znaczyć? Tłumaczył jej dlaczego to taki ważny mecz. Przełożone derby. Nic z tego nie rozumiała. Pójdzie po niego i przeprowadzi przez to miasto. Wiedziała, że koniec będzie, kiedy młodzi i starzy będą mieli dosyć. Dosyć domów, kobiet, pieniędzy? Wystarczająco rozsądku i rozumu. Dosyć nigdy nie wystarcza. Może będą to ci chłopcy na zaśnieżonym boisku? Synowie hutników i górników grających w KS. Baildon. Dopchała się do płotu, precyzyjnie między widzami. Ustąpili starszemu miejscu. Mecz jej nie interesował, nie znała się na tym. Przyszła tu popatrzeć na najstarszego prawnika. Syna piekarza, prawnika piekarza, i prapra i praprapraprawnika piekarzy, który nie chciał zostać piekarzem.

Grał z numerem siedem na plecach czarno-pomarańczowej koszulki. Niski, szczupły, wręcz chudy, często zabierał piłkę niebieskim i zaraz kopał daleko. Zawsze trafiał czarno-pomarańczowego. Stał tam, gdzie spodziewał się przeciwnika. Przewidywał bezbłędnie. Pomocnicy przeciwnika szybko zauważyli, że sobie nie radzą i próbowali faulować, co też nie było rozwiązaniem, bo od fauli się wywijał, a wyplacał równo. Z uwag stojących wokół niej wynioskowała, że lubią tę małą pijawkę. Gwizdek koniec. Kibice byli zadowoleni. Młodzież KS dojrzała i była coraz dorodniejsza.

Zapamiętała, w którym budynku chłopcy zniknęli. Usiadła na ławeczce w parku przed klubowym budynkiem i czekała. Chłopcy brali prysznic w łaźni na parterze, śmiali się i prorokowali bójkę z niebieskimi. To był taki zwyczaj przy derbach. Alex wtrącił się i, był zdania, że wszystko załatwia się na boisku. Prawie przekonani poszli razem do góry – każda drużyna do swojej szatni. Starsi zawodnicy nie rozumieli tego młodziaka. Ale go cenili – jedyne z centrum miasta, który przebił się w tym czysto śląskim klubie, bez wieloletniego wysiadywania na ławie. Piętnastolatek był dojrzały. Wyszedł z szatni, pożegnał się z gospodarzem i trenerami i zbiegł schodami w dół. W parku ze zdziwieniem przywitał się babcią. Nie chciał wracać z babcią. W klubie był dorosły i nabrał pewności siebie. Za cztery lata matura. Wsadził okulary na nos i wyglądał jeszcze poważniej. Paula nie chciała psuć mu dnia. Więc poszła za nim jakieś kilkadziesiąt kroków z tyłu i kiedy podjechali suką do niego, żeby go wylegitymować, przyspieszyła i stanęła obok chłopca. Już przeglądali jego teczkę ze sprzętem piłkarskim. Piłkarz? To dobrze. W zdrowym ciele, zdrowy duch. Kiedy do wojska? Zabrali legitymację szkolną i patrząc mu w oczy pytali:

Nazwisko. Imię. Szkoła. Miała łzy w oczach. Odezwać się nie mogła. Takich milicjantów w hełmach do tej pory nie widziała. Stała w milczeniu i złapawszy chłopca za rękę, pociągnęła w kierunku Placu Wolności. Wydusiła z siebie: Do domu. Spojrzała mundurowemu w oczy, wyciągnęła dłoń po legitymację, zabrała dokument i odchodząc powiedziała znów po polsku: To mój syn. Na tyle się zdecydowała. Milicjanci pogrozili pałkami. Zaśmiali się rubasznie. Jakaś stara wariatka. A niech idą... Dalej, dalej. I do domu. Do domu.

Nie rozumiała, o co tu chodzi. Robotnicy strajkują w Danzig. Ach to Danzig, zawsze tam tylko się buntują. Zawsze im mało. Za mało pieniędzy, za mało morza, za mało wolności. Przecież kiedyś zrównali ich już z ziemią. Ruscy już tam pokazali, na co ich stać. Znowu zaczynają ci w tym dzikim mieście. Znowu: Freie Hansastadt Danzig? Przecież to teraz Polska. Miasto w Układzie Warszawskim. Zwał, jak zwał, to czołgi decydują. Święta za pasem, a nie stoczniovcy. Trzeba przygotować święta i tyle. Choinka już stoi na strychu. Chyba nie ukradną? Karpie pływają w wannie. Pierniki, pfefferkuchen, a nie honigkuchen, dojrzewają polukrowane w kartonach. Prezenty kupione, albo zrobione, można więc kończyć przygotowania i zasiąść do wieczerzy, żeby zdążyć na Pasterkę do Mariackiego.

Kolejka ustawiała się już od piątej rano. Słońce nie wzeszło, a kobiety z siatkami ustawiały się po chleb. Za pięć szósta podjeżdżała czarna wołga, wysiadał kierowca z płócienną siatką w ręce, kobiety przepuszczały go. Przyjechał po chleb dla pierwszego sekretarza. Nie tylko dlatego, że ten dotrzymywał słowa. Polska rzeczywiście rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej. Lucek od roku prowadził piekarnię na Brynowie. Paula była dumna, że wnuczka z mężem wracają do korzeni i poziomu życia.

Rzucił się w prawy róg i obronił. Widzowie na stadionie przecierali oczy ze zdumienia. Biało-czerwoni byli lepsi, ale Niemcy mieli szczęście, jak zwykle. Nie tylko w pilce.

Okno czwarte piętro front (nie widać)

Sierpińska – Co tam kopiesz w tym hasioku. Kto te hasie potym posprzonto.

Przy hasioku: Nic nie kopię.

Okno czwarte piętro front (nie widać)

Sierpińska –Fłaszki wyciągosz. Niy ma flaszek - już jedyn rano wyciongnął. Papiór tyż. Nie mosz tam nic do szukania. Pitej stamtond. A już. Bo cie wodom obleja.

Przy hasioku: Niczego nie szukam. Niczego nie zbieram. Zdjęcia robię.

Okno czwarte piętro front (nie widać)

Sierpińska – Zdjęcia. Dlo administracji. To dobrze. Tyn hasiok już się cały rozlatuje i smierdzi jak z haźla.

Przy hasioku: Nie dla administracji. Na wystawę. Obrazy fotografuję. Śląskie krajobrazy mistyczne.

Okno czwarte piętro front (nie widać)

Sierpińska – Za gupka mie robisz, jo ci dom. A mosz. A mosz. Bydziesz mie za bozna robił. Ty smarkocu. Czekej zaroz wyncyj przyniesia.

Sierpińska rzuca w obraz jajkami.

Przy hasioku: Proszę przestać. Obraz pani zniszczyła.

Okno czwarte piętro front (nie widać)

Sierpińska – Łobroz, łobroz, no to mosz jeszcze roz. Ty giździe leniwy. Jo ci dom krajobraz. Krajobraz. Do roboty z tobom. Ty bumelancie jedyn, a mosz.

Na plac wychodzi dozorca polewa wodą i zamiata. Mariański wraca z roboty. Wyciąga po kwarantkę i kieliszek i polewa:

Mariański: Wypijemy po jednym. Napisali na wagonach: Ślązacy to nie Polacy.

Dozorca :Bo my robimy, a Poloki zaś strajkują. A co chcą?

Mariański: Żeby Gomuła cen nie podnosił.

Dozorca : Niech wiecej robiom.

Mariański: Przecież robią.

Dozorca: Ja. Pod siebie. 8)

Nie wiedziała, jak mu pomóc. Cieszyło ją, że miał tyle pytań. Przyjeżdżał uczyć się od niej. Była dumna z niego – pierwszy student w rodzinie. Nie uwzględniając Karola – bo teologia... Chętnie pomogłaby więcej i częściej, ale wywieźli ja do Ligoty. Nie trzymała moczu i tym drażniła wnuczkę i prawnuków. Latali za nią ze szmatą przez cały dzień i wyzywali. Szturchaniec też się zdarzał. Już sama nie wiedziała, czy to ze starości, czy ze złośliwości. Nie lubiła naigrywania, przedrzeźniania i wypominania. Nie cierpiała tych śląskich cech. Ale czasami... Małe mieszkanie po śnie o dostatku i sławie. Co prawda nigdy nie było to jej marzenie. Tu chodziła po dworze, po polu. Tu nie przeszkadzała nikomu. Dożywotnio była właścicielką połowy posesji. Do diabła jedyne.

Bardzo tęskniła za swoim prawnukiem. Dziś ma przyjechać. Znowu w powietrzu zawisną pytania bez odpowiedzi. No chyba, że będzie to gramatyka. Coraz częściej jednak pojawiała się najnowsza historia. Co to to nie, ona prawdy mu nie powie, on jej usłyszeć nie chce i nie powinien. Do niedawna próbowała – on z szelmowskim uśmiechem na ustach powtarzał: Oma, ty jesteś świetnym dowodem na to, jak działa propaganda. Jakim geniuszem kłamstwa był Goebels. Nie miał racji. Jeżeli ktoś tu jest odporny na trujące słowa, to ona. Inne sprawa, to to, że ten żydek tam pod 13 przypomina jej tego widzianego trzydzieści lat temu na Młyńskiej w Gliwicach. Był z jakąś kobietą w mundurze. Schlomo? Schlomo? Tak do niego mówiła. Gdzieś, coś, do niej dotarło. Te górnośląskie młyny nie zawsze wesoło warczały i terkotały.

Doczołgała się do okna w kuchni. Podciągnęła, łapiąc za parapet, podparła rękami. Przyłożyła nos do szyby. Teraz widziała wszystko. Zapadał zmrok. Na ławeczce pod jabłonią, Heinrich, jej Heinrich, lewą ręką wyjmował cygaro z ust, spojrzął na twarz za szybą, zachwycony dmuchnął w jej kierunku kółeczko z dymu. Poczula zapach tytoniu i piwa. Prawą ręką jej pomachał. Nie miał z sobą laski, chociaż coś tam leżało w trawie. Było o wiele mniejsze i chyba się żarzyło. Nie to nie laska. Pokazał palcem na jeden z czterech konarów. Siedział na nim Heinz. W uniformie kierowcy. Strzelał ze swego biczyka. Puścił jej oko, jak zwykle, kiedy mówił Mutti, że jest aniołem i kobietą jego życia. Dobrodusznie pogroziła im palcem. Złamana kość biodrowa przestała boleć. Na niebie pojawił się pomarańczowy dysk i objął jej chłopców niebieskim światłem. Usta szeptały modlitwę do świętego Antoniego. Zamknęła oczy.

Za Łabędami, nad kanałem, koła trzaskały się na wiadukcie, co mnie zawsze budziło. Zaraz będzie semafor, pociąg zwolni, albo i zatrzyma się na chwilę, wyskoczę i pójde do niej na skrót. Figurka wypadła mi z kieszeni. Poszukałem w trawie. Namacałem gorący metal. W Lewisach widniał wypalony otwór. Na udzie nie było śladu oparzenia. Ogarnęło go jakieś przecucie wolności...